*Lech Baczyński*

**Ostatnia akcja**

Pociąg stanął, zgrzytając hamulcami tak głośno, że obudziłby umarłego. Mężczyzna wysiadł na peron. Rozejrzał się czujnie, ale dyskretnie. Doskonale pamiętał jeszcze słowa swojego mentora: „Nie stawiaj kołnierza, nie patrz spode łba, nie rozglądaj się za bardzo”. Przejrzał się w oknie wagonu i sprawdził czy szal nadal zakrywa bliznę na szyi. Zakrywał. Korzystając z okazji przygładził szpakowate włosy i poprawił okulary.

- Na starość robisz się nerwowy... Henryk - pomyślał - Pamiętaj, dziś masz na imię Henryk. A teraz spokojnie i po kolei. Po kolei bo jesteśmy na kolei. Dobra, skup się.

Pociąg z Katowic zatrzymał się przy peronie drugim. Henryk szedł w kierunku wyjścia na Plac Dworcowy. Starsza kobieta przed nim ciągnęła za sobą wielka walizkę na kółkach. Wolną ręką trzymała przy uchu telefon, pod pachą niosła torbę, trzymając ją przyciśniętą łokciem do tułowia. Nie dało się jej obejść bokiem. Posuwała się tak wolno, że Henryk powoli zaczynał się irytować. Nagle potknęła się, torba wypadła na asfalt peronu. Henryk rzucił się by ją podnieść i podać właścicielce.

- Dziękuję, to bardzo miłe z Pana strony - powiedziała - mało dziś dżentelmenów.

Odwróciła się i dalej rozmawiając przez telefon odeszła w stronę kasy Kolei Śląskich.

- Faktycznie, niewielu - powiedział cicho do siebie.

Henryk wyszedł z budynku dworca i skierował się na południe, by przystanąć koło swojego pierwszego celu - parowozu Tw53, zwanego pieszczotliwie Halinką, charakterystycznej atrakcji Raciborza. Chciał się dyskretnie rozejrzeć dookoła, udając że podziwia ciuchcię. Nie znalazł jej. Zamiast tego zobaczył puste szyny.

- Ładnie się zaczyna - mruknął - Miał być parowóz, to gdzieś go zabrali. Kto i gdzie mógł przenieść taki kawał żelastwa - zastanawiał się - pewnie do muzeum, albo do remontu. No, chyba że od razu na złom.

Nie mógł stać przy pustych torach, wyglądałoby to podejrzanie. Ruszył dalej. Słońce grzało. Pomimo tego, że był to koniec września.

- Ta słynna złota polska jesień - pomyślał - przez ten cholerny szalik moja szyja jest cała mokra. Dobrze, że wziąłem ten cieńszy płaszcz. Elegancki, czarny, w sam raz na ostatnią akcję.

Mężczyzna miał w głowie cały plan miasta, łącznie z charakterystycznymi punktami, oraz zaplanowaną trasę. Ruszył nieśpieszenie w kierunku ulicy Mickiewicza. W każdym większym mieście musi być ulica Mickiewicza - pomyślał - zapewne jest też Słowackiego. Kolejowa albo Dworcowa, Wojska Polskiego. Jeszcze Długa, rzadziej Krótka. Tak to już jest. Ulica Pocztowa też bywa często. Czasami nawet jest przy niej poczta.

Uśmiechnął się. Zobaczył czerwony ceglany budynek poczty z wykończeniami z jasnego kamienia. Czerwone dachówki. Jak pałacyk. Henrykowi przypomniały się rodzinne strony. Uśmiechnął się ponownie.

Przystanął przy kiosku, udawał że ogląda nagłówki gazet. Patrzył w odbicie w szybie - widział Plac Dworcowy i blady, długi budynek dworca, z fasadą przeciętą nieregularnie czarnymi pionowymi oknami. Czy to jest architektura postmodernistyczna - przemknęło mu przez głowę - czy może byle jaka?

Ruszył chodnikiem, prawie dokładnie na zachód. Pod stopami migotały podłużne, szare kostki brukowe, ułożone w nieregularny, hipnotyzujący wzór. Im dłużej im się przyglądał, tym bardziej nie mógł zrozumieć według jakiego rytmu je ułożono. Było w tym coś nieregularnego i harmonicznego zarazem. Jak jazz. Jak melodia „My favorite things” tego czarnoskórego, jak mu tam było... Davis? Nie, Coltrane.

W oddali górowała wieża kościelna. Szeroka, spiczasta, jak wąska piramida. Przypomniał mu się fragment piosenki usłyszanej dziś w radiu. „Mówiono o nim King / W mieście świętej wieży”. Oczywiście wieża w Częstochowie jest wyższa, i na górce. Widać ją z wielu kilometrów. No, ale to zostawiłeś daleko stąd, i dawno temu - pomyślał z nostalgią - skup się teraz na tym co się dzieje tutaj. Na przykład te krzaki po prawej. Ładnie przycięte. Czy ktoś tam się nie chowa? Spokojnie, bez nerwów. Idziemy dalej. Po lewej banki, po prawej banki. Trafiłem do zagłębia banków - pomyślał. Kraina bankowa. W sumie to wygodne. Nie dadzą ci kredytu w jednym, przechodzisz przez ulicę i jesteś w drugim. Dają za niskie oprocentowanie lokaty? Możesz powiedzieć, że jak nie dadzą wyższego to pójdziesz do konkurencji obok.

Szedł dalej na zachód. Wieża na końcu drogi robiła się coraz większa, w miarę jak się do niej zbliżał. Domy dookoła były niskie.

- Wydają mi się małe w porównaniu z tą wieżą - pomyślał - a może po prostu w Krakowie są większe. Kraków... po wszystkim wrócę tam jeszcze. O ile czas pozwoli.

To właśnie w stolicy Małopolski dostał to zlecenie. Siedział na bulwarze wiślanym, pod Wawelem i udawał, że gra w szachy. Oczywiście drugi gracz nie był przypadkowy, choć postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że dwóch nieznajomych ucięło sobie partyjkę przy specjalnie do tego postawionym stoliku z namalowaną szachownicą. Gdy udawał, że gra, jego oponent poinformował go cichym głosem, sprawdzając czy nikogo nie ma w pobliżu, że w Raciborzu przebywa agent o kryptonimie „Szafir”. Jego stałym kontaktem jest oficer „Anna” - czy jest to pseudonim kobiety czy mężczyzny, tego Henrykowi nie powiedziano. Dowiedział się za to, że „Anna” od trzech tygodni nie daje znaku życia. Trzeba więc wyruszyć na spotkanie Szafira, który będzie w umówionym miejscu o stałej porze. To miało być ostanie zlecenie Henryka. Zarówno on jak i jego szefowie wiedzieli, że niedługo będzie już za stary do tej roboty.

Do wyznaczonej godziny było jeszcze sporo czasu. Henryk spokojnie szedł dalej ulicą Mickiewicza. Zza bloków ukazał się w końcu kościół, którego wieżę obserwował od długiej chwili. Budynek był ciężki, przysadzisty, brudno - ceglasty. Wysokie okna, niby gotyckie, jednak jeszcze trochę romańskie, zostały zamurowane, ale pozostały w nich widoczne czerwone ceglane ramy pod witraże. Wyglądało to tak jakby ktoś zrobił witraż z betonu.

Przed kościołem skręcił w lewo. Trzeba zmieniać kierunki. W chwili gdy skręcał dyskretnie obejrzał się przez ramię. Jak na razie nie zauważył by ktoś go śledził. Ale jeszcze jest sporo czasu na sprawdzanie. Musiał upewnić się, że nikt za nim nie idzie, w tym celu musi odbyć porządny długi spacer przez miasto.

Szedł przyjemną, wąską uliczką. Podobała mu się. Niestety szybko musiał znów zmienić kierunek. Skręcił w prawo, do parku. A może to był skwer. Przeczytał tabliczkę stojącą na krótkim słupku. Skwer księdza prałata Stefana Pieczki. Czyli jednak idę przez skwer nie park - pomyślał - o ile takie rzeczy mają jeszcze znaczenie w dzisiejszych czasach. Mijał fontannę, której płytkie baseny były pokryte przez zgniłobrązowe liście. Popatrzył pod nogi. Znowu zobaczył ciekawy bruk. Tym razem regularny, ale nie nudny. Różnorodny, ale uporządkowany. Jesienne słońce złociło kamienie, lśniły żółtym blaskiem. Henrykowi przypomniały się rzymskie mozaiki, które oglądał w Akwilei i Tunisie. Kilka metrów dalej dwa metalowe szpikulce, będące chyba jakimś pomnikiem, sterczały do góry. Obawiał się przejść między nimi. Wyobraził sobie iskry i pioruny przelatujące z jednego na drugi jak między cewkami Tesli. Gdyby tamtędy przeszedł, ktoś włączyłby prąd, a wtedy pioruny o napięciu setek tysięcy woltów spaliłyby go na proch.

- Opanuj się - pomyślał - to tylko sztuka nowoczesna.

Gdy doszedł do końca skweru przystanął przed restauracją Vena - taką nazwę pokazywał napis z wygiętych neonów, umieszczony na niskim dachu. Oszklone ściany świetnie odbijały widok skweru i okolicy. Henryk zastosował tę samą sztuczkę co wcześniej przy kiosku koło dworca. Stał prze chwilę i oglądał odbicie otoczenia w szybie. Tym razem jednak zauważył kogoś, kogo zapamiętał z ulicy Mickiewicza. Mężczyzna w jasnoniebieskiej kurtce i brązowych spodniach zszedł ze skweru po czym skręcił na południe, w ulicę Nową. Przeszedł chodnikiem pół metra od odwróconego tyłem Henryka. Agent stał jeszcze przez chwilę, dopóki tamten nie oddalił się i nie zniknął za kolejnym zakrętem.

Ruszył dalej, wszedł w ulicę Solną. Od różnorodności kostki brukowej zakręciło mu się w głowie. Chodnik z drobnych kostek, ułożonych w łuki. Przy nim jezdnia z większych kamieni, ułożonych rzędami, dalej drugi wąski chodnik z drobnych, dalej płyty ułożone prosto, a za nimi płyty ułożone na skos. Wzory tańczyły mu przed oczami. Cała ulica Solna była piękna. Niezbyt prosta, niezbyt kręta. Nie za szeroka, nie za wąska. Po bokach ładne kamienice. Wszystko na swoim miejscu.

Minął plac zabaw, po prawej ulica Bankowa kusiła pięknym brukiem, pobiegł jednak w lewo, przez teren szkoły. Gdyby ktoś go śledził, musiałby zrobić to samo. Wybiegł z drugiej strony, na ulicę Wojska Polskiego. Tak jak myślał, zawsze jest jakaś ulica Wojska Polskiego. Blok przed nim wyglądał jak z gry komputerowej - prostokątny, płaski, regularny. Henryk bardzo lubił grać na swoim laptopie, choć nie przyznawał się do tego znajomym, których zresztą nie było wielu. Tryb życia, jaki prowadził, częste wyjazdy oraz zmiany miejsca zamieszkania sprawiały, że czuł się coraz bardziej samotny. Rodziny nie założył, raz tylko związał się na dłużej z kobietą ale ich związek rozpadł się po dwóch latach. Dzieci nie miał. Nadwyżki wolnego czasu zabijał grami.

Słońce schowało się za chmurami, pociemniało. Szedł brzydkim chodnikiem. przyśpieszył kroku, nie podobało mu się tutaj. Jedyne co było w tej drodze dobre, to łagodny łuk jakim droga skręcała w prawo.

Dotarł na Plac Wolności. Kolejny punkt na jego planie. Mógł spokojnie obejść plac, a przy okazji zobaczyć czy ktoś za nim nie idzie. Mężczyzny w niebieskiej kurtce nie zauważył. Było przyjemnie. Zielono, drzewa, trawa, kwiaty na kolorowej i wypielęgnowanej rabacie. Na środku stał kamień. Wielki, nieregularny głaz. Ciekawe skąd się tu wziął. Może wiąże się z tym jakaś legenda, na przykład taka: diabeł leciał z wielkim kamieniem by go zrzucić na klasztor, ale głaz wypadł mu z rąk. Albo z pazurów. Kopyt. Racic. Co tam te diabły mają.

Minął śmiesznie małe rondko i skierował się na ulicę Długą. Z początku brzydka i wyasfaltowana, z szerokim parkingiem zastawionym samochodami, przeszła nagle w coś, co spowodowało że Henrykowi szybciej zabiło serce. Tan bruk, piękny, drobny, ułożony łukowato. Ulica tylko dla pieszych, zupełny brak aut. I te dwa poziomy drogi, lewy wyżej, prawy niżej. Gdyby szedł tędy olbrzym, musiałby utykać. I ta zieleń pośrodku, taka regularna, taka zadbana. Słońce wyszło zza chmur i Henryk przez kilka minut był naprawdę szczęśliwy.

Idąc pod starymi arkadami, które jeszcze bardziej poprawiły mu humor, doszedł do skrzyżowana z ulicą Browarną. Śmieszna nazwa. Pewnie był tu browar. Co się z nim później stało?

Zatrzymał się na chwilę przy nowoczesnym pomniku - czarnej kuli przedstawiającej świat. Obejrzał ją ze wszystkich stron, przy okazji obserwując otoczenie we wszystkich kierunkach. Wciąż nie widział, czy ktoś go śledził. Gdy obrócił się w kierunku, z którego przyszedł, zobaczył na ścianie domu, nad arkadami, które tak mu się podobały, wizerunek - ni to jak Matka Boska, ni to jak postać z obrazu Klimta. Obiecał sobie, że dziś jeszcze raz wróci w to miejsce. Ale teraz musiał się skupić na akcji. Na emeryturze będzie miał więcej czasu na podziwianie widoków.

Została godzina do spotkania z Szafirem. Szedł w kierunku Rynku. Po obu bokach prowadziły go arkady, jakby dwie osoby trzymały go pod ramię. Z przodu otwierała się przed nim szeroka przestrzeń głównego placu miasta.

- Co to ma być?! -zdziwił się, stanął nagle, zmełł w ustach przekleństwo. Bloki, które zobaczył po przeciwnej stronie Rynku zupełnie tu nie pasowały. Inne rzeczy były jak najbardziej na miejscu. Arkady, bruk, parasole kawiarniane, kościoły. Ale te brzydkie bloki z balkonami? Kto to tu wybudował?

Usiadł w kawiarni na środku Rynku, pod parasolem. Poprosił o kawę Americano. W ostatniej chwili powstrzymał się, by nie powiedzieć do kelnerki, że zamawia Verlangert. To inna nazwa kawy z wodą, ale używana w innych miejscach, na przykład w niektórych kawiarniach, w których jeszcze wciąż „ober” przynosi klientom gazetę na kiju.

Od czasu rozmowy pod Wawelem zastanawiał się w jakim mieście osiąść na „emeryturze”. Myślał o Krakowie, Wiedniu. Mogła być tez Praga. W Rzymie jest za gorąco. Niemcy i Francja odpadają, za dużo osób może go tam rozpoznać. Być może z tego samego powodu trzeba będzie też zrezygnować z Wiednia, choć bardzo mu się tam podobało.

Kawa była gorzka, taka jaką lubił. Siedział spokojnie, walczył z pokusą rozglądania się na boki. Otoczenie trzeba sprawdzać dyskretnie. Nagle drgnął. Zobaczył kogoś, kto wydał mu się znajomy. Nie wiedział skąd zna tego człowieka. Może spotkał go na ulicy. Albo w pociągu. Wiedział tylko, że już go widział. I nie był to ten w niebieskiej kurtce.

Nieznajomy oparł się o płot okalający kolumnę Matki Bożej. Ciekawa kolumna - pomyślał Henryk - w Wiedniu na placu Graben mają podobną. I w prawie każdym austriackim miasteczku. Także w wielu czeskich. Tam to się nazywa kolumna zarazy. Wybudowana po którejś kolejnej zarazie, jako dziękczynienie przez tych, którzy przeżyli. Ale tutaj, w Raciborzu ta kolumna ma jeszcze inne znaczenie. Opowiedział mu o tym pewien archeolog, z którym Henryk spotkał się w Krakowie, w czasie poprzedniej misji. Naukowiec prowadził w końcu XX wieku wykopaliska na płycie Rynku. A jest taka legenda, że kolumna zatyka połączenie Rynku z Odrą i lepiej nic koło niej nie ruszać. Ludzie mieli potem do niego pretensje, że to jego kopanie spowodowało powódź tysiąclecia w 1997, która zalała Racibórz, i której ślady widać tu do dzisiaj.

Do mężczyzny stojącego pod kolumną podeszła kobieta. Blondynka, jasne włosy wystawały spod czarnego beretu. Pomimo, że szary prochowiec nie podkreślał figury, widać było, że jest zgrabna. Henryk nie mógł dostrzec dokładnie, ale wydawało mu się że ma zielone oczy. Agent w czasie akcji musi zwracać uwagę nawet na takie szczegóły.

Kobieta pocałowała na przywitanie nieznajomego i przytuliła go.

- Zakochana para - pomyślał Henryk - i na pewno nie agenci. Żaden szpieg nie będzie chodził w szarym prochowcu i berecie. Na starość robię się za bardzo podejrzliwy.

Wstał, zostawił należność na stole. Przeszedł pod łukiem w pierzei Rynku i znalazł się na ulicy Rzeźniczej. Po lewej zobaczył ciemny, żółtawo-różowawy mur, składający się z samych łuków i krat. Poczuł się nieswojo. Wyobraził sobie, że ktoś mógłby go za ten mur zaciągnąć i potem... Ale z drugiej strony, w razie potrzeby to on może kogoś tam schować. A raczej czyjeś ciało.

Przez Rzeźniczą i Browarną (znowu ta śmieszna Browarna) doszedł do Chopina. No tak, Chopin też musi być, jak Mickiewicz i Słowacki.

I znowu ten bruk, taki różnorodny, i harmonijny... Ale teraz musiał się skupić. Za trzy minuty szesnasta. Szafir miał się pojawić o tej godzinie przy wejściu do muzeum. Muzeum, według tego co zapamiętał Henryk, było zaraz za Centrum Kultury. Tymczasem zamiast niego zobaczył ceglany kościół, porośnięty bluszczem, z łacińskim krzyżem na wysokiej wieży.

- Co jest? Planu nie możesz zapamiętać? Starzejesz się... - pomyślał. A zaraz później przestraszył. Jeżeli nie znajdzie muzeum nie spotka się z Szafirem i cala akcja weźmie w łeb. Podszedł kilka kroków bliżej wejścia do kościoła. I wtedy zobaczył czerwoną tabliczkę z napisem „Muzeum” a nad gotyckim portalem czarne metalowe ozdobne litery układały się w taki sam napis.

- To będzie ostanie muzeum które Szafir zobaczy w swoim życiu - pomyślał.

Nie zdawał sobie sprawy jak bardzo się mylił.

Szafir szedł od zachodu, ulicą Gimnazjalną. Nie wiedział, że Henryk, a właściwie mężczyzna, który dziś posługiwał się takim imieniem, nie był jego nowym kontaktem. Człowiek czekający przy wejściu do Muzeum świetnie posługiwał się językiem polskim, ale pochodził z innego kraju, którego kontrwywiad wykorzystał zamieszanie ze zniknięciem agenta „Anna”. Henryk był doświadczonym zabójcą wysłanym by spotkać się z Szafirem udając nowy kontakt. A następnie dyskretnie go zlikwidować.

Zabójca rozejrzał się. Przed nim otwierał się plac, wybrukowany - a jakże - kostką. Niezbyt dobre miejsce na to, co zamierzał zrobić, zbyt otwarta przestrzeń. Po prawej stał niski szary budynek. Jego niskość kontrastowała z wysokością kościoła-muzeum. Na tyłach tej szarej bryły małe podwórko. Nada się. Krata zagradzająca wejście była otwarta. Henryk rozpoznał nadchodzącego Szafira, widział wcześniej jego zdjęcia. Jego cel był nieco otyłym czterdziestolatkiem, ubranym w wytarte i poplamione dżinsy, ciemnozieloną kurtkę i spraną szarą czapkę z daszkiem. Wyglądał jak zwykły przechodzień wracający z pracy, na przykład w fabryce. Prawidłowo, nie rzucał się w oczy. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Nie tutaj - szepnął do przybysza - im mniej ludzi nas zobaczy tym lepiej - dyskretnie wskazał głową na parkingowego, który siedział obojętnie na składanym krzesełku pod ceglanym murem obrośniętym bluszczem.

Poszedł w kierunku niskiego szarego budynku. Szafir podążył za nim. Henryk przystanął przy wejściu na ciasne, wcześniej upatrzone podwórko i przepuścił towarzysza przodem. Rozejrzał się, po czym namacał w kieszeni cienki, długi sztylet. Ruszył tuż za plecami Szafira, wybierając w myślach moment w którym zaatakuje. Szedł za nim krok w krok.

Nagle ostry ból między żebrami zatrzymał Henryka w miejscu. Ktoś od tylu wbijał mu nóż w okolice serca. Wiedział, że za kilkadziesiąt sekund jego życie się skończy. Widział takie sytuacje wiele razy, ale zawsze był po drugiej stronie ostrza. Dziś też miało tak być... Jego własny sztylet wypadł mu z ręki.

Już nie wrócę na Browarną... - ta niespodziewana, nie pasująca do sytuacji myśl przemknęła mu przez głowę.

Zdążył się jeszcze odwrócić. Ostatnimi obrazami jakie zobaczył, były zielone oczy, patrzące na niego z odległości dziesięciu centymetrów, oraz długie blond włosy, czarny beret i szary prochowiec. A potem bruk, nieregularny, tańczący grający, płynący, szybko zbliżający się do jego twarzy, coraz bardziej ciemny, rozmyty, niewyraźny.